



O edytorstwie i „komponencie naukowym”

Bez związku właściwie z zamkniętą, jak sędzę, sprawą finansowania projektu krytycznej edycji listów Henryka Sienkiewicza pozwalam sobie na parę uwag natury ogólnej. Rzecz dotyczy mianowicie nie tyle procedur przyjętych formalnie przez instytucje owe granty przysznające, co jednego tylko wyrażenia, które w wymianie poglądów na ten temat zostało użyte. Otóż pojawiła się kwestia, czy projekt edytorski zawiera w sobie wystarczająco ewidentny składnik pracy badawczej, aby można go było zestawiać i rozpatrywać na równi z tymi wszystkimi działaniami, które z nauką i z naukowością (rozumianą jako określanie i przestrzeganie swoistych dla danej dziedziny i dyscypliny procedur) powszechnie bywają kojarzone. Myślę, że są niejaki podstawy do tego, aby cała produkcja książek, z której obfitymi „plonami” w księgarniach się spotykamy, w powszechnym odbiorze od tego rodzaju skojarzeń z „naukowością” była daleka. Jednakże w przypadku wniosków o finansowanie projektu edycji takich czy innych tekstów (także źródłowych) mamy do czynienia z edytorstwem, które nieprzypadkowo jest dookreślane przymiotnikiem „naukowe”, a zatem które, w moim (i nie tylko moim) najgłębszym przekonaniu, ów „komponent” badawczy czy naukowy zawiera. Można by nawet powiedzieć, że cała humanistyka – ta przynajmniej, która w coraz to rozleglej się poszerzającym, pierwotnie zaś śródziemnomorskim kręgu kultury się wykształciła, właśnie od edytorstwa się poczęła. Jeżeli bowiem przez humanistykę rozumiemy zespół problemów i działań skupionych na funkcjonowaniu kulturowej komunikacji społecznej w jej rozmaitych wzorcach i kontekstach, to wątpić nie sposób, że najważniejsze w tej komunikacji medium, czyli tekst, zaistniało w przestrzeni międzyludzkiej właśnie dzięki jego „edytowaniu” (przy użyciu rozmaitych nośników) z zachowaniem krytycyzmu, dyscypliny metodologicznej i liczącej się z prawdą uczciwości. Tak właśnie, w skrócie rzecz ujmując, od tysiąca lat z parusetletnim okładem rozumiano i pojmuje się dziś nadal odpowiedzialność (również moralną) za słowo „kopiowane” – przepisywane, potem drukowane, wreszcie coraz rozleglej dostępne i oddziałujące w różnego rodzaju elektronicznych nośnikach tekstu. Edytorstwo naukowe bowiem było i jest nadal funkcją odpowiedzialności za słowo przekazywane innym w przestrzeni społecznej: czy będzie to Słowo

Objawione (czyli np. tekst Biblii w kręgu wyznawców religii monoteistycznych poddawany rygorystycznej, kanonicznej dyscyplinie krytycznej), czy też przepisywane na papirusach słowa „poetów” (czyli „twórców”): Homera, którego teksty „opracowywał edytorsko” aleksandryjski filolog i matematyk Eratostenes (III/II w. przed Chr.), albo Safony, Wergiliusza, Augustyna, Mickiewicza, Sienkiewicza i tysiący innych autorów należących do kanonu kultury śródziemnomorskiej, potem uniwersalnej (w tym i polskiej), o innych jeszcze, pozaeuropejskich kanonach kultury już nie wspominając. Sztukę naukowego edytorstwa wygenerowała filologia, kiedyś wszechogarniająca wiedza, niezbędna do poprawnego odczytywania tekstów, do ich ewentualnego poprawiania (emendacji), a także do krytycznego skomentowania przed „puszczeniem w obieg” społeczny. Filologia bowiem, potem zaś wiedza o literaturze, krytyka literacka etc., to od samego początku nic innego jak właśnie sztuka naukowego, ścisłego opracowania tekstu przygotowywanego do publikacji, czyli – edytorstwo naukowe. Podkreślam ową „ścisłość”, aby zwrócić uwagę na fakt, że anachronizmem jest dzisiaj ograniczanie i rezerwowanie tego określenia tylko do szeroko pojętego przyrodoznawstwa i innych „nauk ścisłych”, skoro już od czasów filologii aleksandryjskiej i edytorstwa (na papirusach, to prawda!) tam uprawianego o „nieścisłości” w tej dziedzinie, pod rygiem kompromitacji uczonego, mowy być nie mogło i nie może. Owszem, tak się sprawy ułożyły, że dzisiejsi edytorzy (naukowi, a jakże!) dopiero od niedawna traktowani są poważnie jako ludzie najbardziej kompetentni w zakresie nauk o literaturze, zaś ich dorobek wreszcie jest doceniany w awansach i procedurach o nadanie stopni i tytułu naukowego na równi z publikacjami (monografiemi) autorskimi. Zresztą, cóż to znaczy „autorskimi”? Wszak ktoś, kto opracował krytycznie (czyli naukowo) tekst (np. zbiór listów Henryka Sienkiewicza), ma prawa pokrewne do edycji tego opracowania. Dlatego też edytorstwo jest kierunkiem studiów i dyscypliną naukową (w zakresie bibliologii) z określonym wyrażeniem polem badawczym, uprawianym z korzyścią dla każdego, kto chce czytać tekst z zachowaniem pewności, że ma do czynienia z „oryginałem”, nie zaś z „podróbką” pozbawioną komentarza albo fałszywie skomentowaną. Zatem szanujmy edytorstwo naukowe i nie pozwólmy, aby było relegowane z obszaru badań podstawowych.

ANDRZEJ BOROWSKI

Polska Akademia Umiejętności

Kształcenie elit

Profesor Andrzej Białas zaprosił („PAUza Akademicka” 308) do dyskusji o tym, jak rozwijać w polskim społeczeństwie podejście naukowe poprzez podanie trzech zasad nauki, które funkcjonują od XVI wieku. Według pierwszej z tych zasad, najważniejsze dla rozwoju nauki było to, że ludzie przyznali się do niewiedzy.

Czy całe społeczeństwo można namówić do naukowego myślenia? Bardzo w to wątpię. Byłoby dobrze, by najpierw pracownicy uczelni i ośrodków badawczych myśleli naukowo. Tak się składa, że polska nauka, poza bardzo wąską elitą, i to często pracującą za granicą (np. Maria Skłodowska-Curie), nie przeszła przez „wyżymaczkę” rewolucji przemysłowej na terenie Polski. W krótkim okresie 20-lecia międzywojennego powróciło do Polski około 300 profesorów, z których dwóch zostało prezydentami Polski.

Co robić? Stać przy swoim i nadal forsować rozwój uczelni elitarnych, do czego ABBA nawoływał na tych łamach („PAUza Akademicka” 327)? Czyli trwać przy swoich ideach i nie pauzować?

Temat uczelni elitarnych jest aktualny tak w Polsce, jak i w Stanach Zjednoczonych, tyle tylko, że konkluzje są RÓŻNE. Niewątpliwie wynika to z krytycznego stanu, w jakim znajduje się szkolnictwo wyższe w obu krajach, tzn. nikt nie jest z niego zadowolony. W USA demokracja wykształcenia spowodowała szeroki dopływ studentów, co przyniosło obniżenie jakości kształcenia. Panuje opinia, że kilka elitarnych uczelni, typu *Ivy League*, ciągle kształci dobrze, aczkolwiek tak drogo, że dostęp do nich mają najzamożniejsi, niekoniecznie najzdolniejsi. I cóż po takim elitarnym absolwencie, który został dobrze wykształcony, ale jest przeciętnie zdolny? Obecnie studia na amerykańskich elitarnych uczelniach kosztują średnio \$ 45 000 rocznie za opłaty kursów (tzw. kredytów) typu licencyjnego; do tego dochodzą koszty utrzymania, zamieszkania, książek, transportu, kieszonkowe i inne (tj. plus ok. \$ 15 000). Programy magisterskie na tych elitarnych uczelniach są o 50% droższe. Zadłużenie studentów w USA przekracza zadłużenie społeczeństwa na

kartach kredytowych – jest zatem ogromne. Jednakże, jeżeli aplikant ma duże zalety (wymierne i niewymierne), to Uniwersytet Harvarda pokryje mu koszty studiowania, zależnie od stopnia jego zamożności – nawet do 100%. Czy z tego nie wynika, że jednak wybitni ludzie mogą uzyskać dobre wykształcenie? Tak, ale Harvard University jest wyjątkiem, który potwierdza regułę.

System kształcenia w III Rzeczypospolitej Polskiej – oparty na 500 uczelniach i 2 milionach absolwentów – jest jednym z największych w Europie, ale niestety nie wykształci elity merytorycznej, ponieważ nastawiony jest na ilość, a nie na jakość. Dlatego należy zdecydowanie przystąpić do rozwijania równoległego szkolnictwa wyższego – łatwo dostępnego, jednakże elitarnego (dostęp w wyniku ostrej kryterialnej selekcji) – które wykształci przyszłych liderów politycznych, naukowych, profesjonalnych, gospodarczych, społecznych... Jednakże zorganizowanie kształcenia elitarnego od podstaw jest w polskich warunkach prawie niemożliwe, zważywszy na wszelkiego rodzaju ograniczenia. Natomiast może warto zastanowić się nad rozwinięciem tego typu kształcenia przez pączkowanie?

Może zacząć od organizowania Wydziałów Honorów [nazwa do ustalenia; na wzór amerykańskiego elitarnego (i małego) *Honors College*, jaki ma każdy dobry uniwersytet]? Na takim wydziale mogliby pobierać elektywne kursy tylko najlepsi studenci danej uczelni; byłyby to kursy uzupełniające programy na innych wydziałach. Wymagałoby to stosowania giętkich programów, w ramach których najlepsi studenci, poza obowiązkowymi kursami, mogliby wybierać kursy na Wydziale Honorów. Z biegiem czasu takie wydziały mogłyby oferować własne programy kształcenia. Kursy „Honoru” byłyby dla małej liczby studentów; oprócz nich powinny odbywać się różne specjalistyczne odczyty, spotkania, praktyki itp. Zajęcia na takim wydziale byłyby prowadzone przez najwybitniejszych profesorów danej uczelni (tworzących uczelnianą, merytoryczną elitę nauki) i przez gościnnie zapraszanych profesorów z innych uczelni.

ANDRZEJ TARGOWSKI

Western Michigan University (USA)
Honorowy Prezes
Stowarzyszenia Dzieci Powstania 1944

Wyjaśnienie dla Czytelników „PAUzy Akademickiej”

Niedawno jeden ze stałych Czytelników „PAUzy Akademickiej” przysłał do Redakcji list, w którym narzeka na zbyt małą czcionkę zamieszczanych tam tekstów. Pragniemy wyjaśnić, że:

1. „PAUza Akademicka” pomyślana jest jako czterostronowy tygodnik internetowy, przeznaczony przede wszystkim do czytania na ekranie komputera. W momencie otwarcia jednej ze stron „PAUzy” przez używany przez czytelnika browser, pojawia się na ekranie dana strona w ogólnie przyjętej formacie .pdf. Litery tekstu mogą wydawać się za małe do łatwego odczy-

tania. Ale nad albo z boku tekstu strony (zależnie od browsera) automatycznie pojawiają się na szarym pulpicie lub w białych kółkach znaki „-” i „+”.

2. Wystarczy kliknąć lewym klawiszem myszki lub ekranu na pulpicie na ten znak „+” i strona, powiększa się na ekranie. Czynność tę można powtórzyć kilkakrotnie i za każdym razem tekst na ekranie się powiększa, bez widocznej utraty ostrości.
3. Niestety w przypadku wydrukowania strony czy całego numeru „PAUzy”, powiększyć wydrukowanego tekstu się nie da.

Redakcja

Od trzech lat Filharmonia Świętokrzyska w Kielcach wraz z tamtejszym Uniwersytetem Jana Kochanowskiego organizują na początku roku akademickiego Koncert Uniwersytecki. W tym roku w programie znalazł się I Koncert fortepianowy Johanna Brahmsa w wykonaniu laureata ostatniego Konkursu Chopinowskiego Erica Lu oraz V Symfonia Ludwiga van Beethovena. Orkiestrę prowadził dyrektor Filharmonii Świętokrzyskiej, Jacek Rogala, ja zaś miałem przyjemność i zaszczyt koncert poprzedzić krótkim wykładem. Oto, co powiedziałem.

Muzyka sfer

Pewnie się Państwo zastanawiacie, cóż fizyk, naukowiec może powiedzieć przed koncertem. Cóż, naukę i sztukę – dwie bodaj najważniejsze domeny kreatywnej aktywności człowieka – przyzwyczailiśmy się postrzegać jako nader odmienne, niemal przeciwstawne, a przynajmniej niewiele mające ze sobą wspólnego. A przecież ten pogląd ukształtował się późno – dopiero w dobie romantyzmu. Słynny dwuwiersz z ballady „Romantyczność” – *czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko* – domniemaną opozycję nauka–sztuka w polszczyźnie zadekretował, upowszechnił i utrwalił. Można się jednak zastanawiać, czy Adam Mickiewicz formułował swoje przekonanie czy hasło epoki. Nie miał bowiem nasz wieszcz narodowy kłopotów w szkole z matematyką, a i dla nauk przyrodniczych żywił szczerze zainteresowanie.

Zostawmy jednak te rozważania i cofnijmy się do czasów głęboko przedromantycznych, gdy nie przeciwstawiano nauki sztuce, a widziano w obu dziedzinach dużo wspólnego. Cofnijmy się do VI wieku p.n.e., na wybrzeża Azji Mniejszej, gdzie Pitagoras nauczał, że ruchom po nieboskłonie planet, Słońca i Księżycy towarzyszy niesłyszalna muzyka – muzyka doskonałej harmonii, słyszana jednak nie uchem, lecz rozumem. Narodziła się wtedy idea muzyki sfer, która zaskakująco współgra ze współczesną fizyką teoretyczną. O tym właśnie chciałbym Państwu powiedzieć.

Pitagoras odkrył, że relacje między dźwiękami można wyrazić liczbami. Wedle przypowieści miał swego odkrycia dokonać, przysłuchując się dźwiękom docierającym z kuźni, lecz prościej będzie wyobrazić sobie napiętą strunę, której długość, jak na skrzypcach czy gitarze, możemy zmieniać. Otóż dźwięk struny skróconej dokładnie dwa razy ulega podwyższeniu o oktawę. A więc oktawa odpowiada proporcji 2:1. Interwał kwinty wyznacza proporcja 3:2, kwarty 4:3 itd. Konsonanse i dysonanse też można określić stosunkami liczb. Odkrycie to zrobiło ogromne wrażenie na Pitagorasie, stało się dlań fundamentalną zasadą, doszedł on bowiem do wniosku, że liczby rządzą światem.

Nie zachowały się żadne pisma Pitagorasa, więc wszystko, co wiemy o nim i jego szkole, pochodzi od późniejszych autorów, głównie od Arystotelesa. Ten tak pisał w „Metafizyce”:

(...) pitagorejczycy pierwsi zajęwszy się naukami matematycznymi, nauki te rozwinęli, a zaprawiwszy się w nich, sądzili, że ich zasady są zasadami wszechrzeczy. Skoro tedy liczby zajmują z natury rzeczy pierwsze miejsce wśród tych zasad, a w liczbach można dostrzec, jak sądzili, wiele podobieństw do rzeczy istniejących i powstających; skoro dostrzegli też w liczbach właściwości i proporcje muzyki; skoro wreszcie wszystkie inne rzeczy wzorowane są, jak im się zdawało, w całej naturze na liczbach, a liczby wydają się pierwszymi w całej naturze, to sądzili,

że liczby są elementami wszystkich rzeczy, a całe niebo jest harmonią i liczbą.

Kolejny gigant starożytności – Platon – poszedł dużo dalej niż Pitagoras, tworząc systematycznie zbudowaną teorię. Orzeka ona, że obiektywnie istnieją nie otaczające nas rzeczy, lecz idee. To, co widzimy wokół, to jedynie odbicia, cienie jak w sławnej przypowieści o jaskini, doskonałych abstrakcyjnych idei. W życiu nigdy nie mamy do czynienia z kołem, jedynie z koła imitacją. Talerz np. jest okrągły, lecz gdy się dobrze przyjrzeć, zawsze dostrzeżemy jakieś nierówności, jakieś niedoskonałości. Skąd zatem wiemy, pyta Platon, co to jest koło, skoro znamy jedynie wyszczerbiony talerz, tylko inne koła marne imitacje. I odpowiada: koło jako matematyczna abstrakcja istnieje w świecie idei.

Wśród współczesnych fizyków wielu jest platoników. Jedni, ci interesujący się choć trochę filozofią, są platonikami świadomymi, wielu jednak jest nieświadomych. Łączy ich wiara, że matematyczne konstrukcje, z pomocą których opisujemy świat, istnieją jak najbardziej obiektywnie, a my jedynie je odkrywamy, nie zaś wymyślamy. Z tego powodu, jak twierdzą, różni badacze, bardzo różnie rozumując, dochodzą do tych samych teorii, tak jakby dopływali z różnych stron do tej samej wyspy, zagubionej w oceanie niewiedzy.

Liczby, które tak fascynowały Pitagorasa, to bodaj najprostsze obiekty z matematycznego arsenału współczesnej fizyki teoretycznej. Odkrycie liczbowych relacji między dźwiękami wydaje się dzisiaj dziecinnie proste, niemal banalne, matematyka jako język fizyki bowiem ogromnie się rozwinęła. Jednak we współczesnych teoriach wciąż można posłyszeć pitagorejską muzykę sfer, która jednak nie jest już prostą monodią zbudowaną jak chorał gregoriański na kilku dźwiękach, lecz ogromnie złożoną polifonią na wielką orkiestrę. Muzyki tej, oczywiście, nie słyszymy uchem, lecz jedynie rozumem, rozumem wyposażonym w wiedzę.

Jakaż to muzyka, powie sceptyk, gdzie emocje towarzyszące jej słuchaniu. A czym jest muzyka? Czy zbiorem słyszalnych dźwięków? Chyba jednak nie. Wszak wprawny muzyk – obeznany z harmonią, kontrpunktem – może zachwycić się partyturą, ledwie ją czytając. Ludwig van Beethoven, którego V Symfonia będzie dzisiaj wykonana, był zupełnie głuchy, komponując Symfonię IX, tak przecież wielką.

Wysłuchałem kiedyś pogadanki słynnego dyrygenta Leonarda Bernsteina o V Symfonii Beethovena. Myśl pogadanki, ilustrowana fragmentami utworu, była taka, że symfonia musiała powstać tylko w takim kształcie, jaki znamy. Każde odstępstwo, każdy wariant znaleziony w notatkach kompozytora, inny niż wersja ostateczna, jest zgrzytem, strasznym błędem. Fizycy, trochę jak głuchy Beethoven, wysilają rozum, by dosłyszeć muzykę sfer, wyrażającą tę jedną właściwą teorię opisującą świat cały.

STANISŁAW MRÓWCZYŃSKI

Institut Fizyki Uniwersytetu Jana Kochanowskiego,
Narodowe Centrum Badań Jądrowych

zaPAU

Profesor Błocki jest zadowolony

Profesor Błocki jest (słusznie) zadowolony z poprawy wizerunku polskiej nauki, który został odnotowany przez „Nature” („PAUza Akademicka” 353). Jest to bez wątpienia dobra wiadomość, nawet jeżeli – jak uważa Profesor Wróblewski („PAUza Akademicka” 355) – kryteria tej oceny są dyskusyjne. Tak czy inaczej, pozytywny sygnał poszedł w świat i można się z tego tylko cieszyć.

Trudno też nie zgodzić się z Dyrektorem Narodowego Centrum Nauki, że na tę poprawę sytuacji wpłynęło wprowadzenie finansowania nauki poprzez granty badawcze, które zapewne mobilizują polskich badaczy do pilniejszego zwracania uwagi na jakość wyników, a także na miejsce ich publikacji. Rola Narodowego Centrum Nauki jest tu bez wątpienia kluczowa. Warto więc podkreślić, że zarówno sprawne zorganizowanie tej instytucji, jak też kilka lat jej owocnego działania, stanowią duże osiągnięcie polskiego środowiska naukowego. Zадemonstrowaliśmy, że – wbrew powszechnemu narzekaniu – Polak potrafi.

Ten sukces jest jednak nieco przyćmiony obserwacją, że poprawa pozycji naszego kraju w rankingu „Nature” nie wynika ze zwiększonej liczby wyników WYBITNYCH, lecz odbija raczej generalne podwyższenie poziomu badań. Jak wskazuje Profesor Błocki, w zakresie wyników spektakularnych pozostajemy w tyle za naszymi sąsiadami.

Myślę, że ten stan rzeczy nie powinien zbytnio dziwić, ponieważ system finansowania poprzez granty, promując generalną poprawę jakości badań, nie sprzyja równocześnie projektom śmiałym, wymagającym czasu i obciążonym dużym ryzykiem. A przecież wiadomo, że duża część badań, które po latach zostały wyróżnione Nagrodą Nobla, nie była uznana za ważne bezpośrednio po ich opublikowaniu. Jest to właściwie reguła, bo prawdziwie pionierskie badania rzadko są natychmiast docenione (i zrozumiane) przez otoczenie. W fizyce najbardziej znanym przykładem jest praca Alberta Einsteina o efekcie foto-elektrycznym (1905), za którą w 1921 roku otrzymał Nagrodę Nobla. Praca uznana została za błędną

przez samego wielkiego Maxa Plancka, który – co warto podkreślić – wysoko oceniał Einsteina za inne jego prace.

Zdaję sobie sprawę, że wybitne osiągnięcia nie dają się łatwo zaplanować ani kontrolować. Niemniej wydaje mi się, że istnieje pilna potrzeba, aby w tej sprawie coś jednak zrobić. Chciałbym więc ponownie przedstawić do dyskusji propozycję powstałą kilka lat temu w środowisku PAU, która była już prezentowana na łamach PAUzy (40) i Forum Akademickiego. Postuluje ona wydzielenie z budżetu nauki kilku procent na finansowanie projektów wysokiego ryzyka. Ale prawdziwym *novum* jest proponowany system rozdzielania tych środków. Aby uniknąć powoływania „komisji”, które z natury rzeczy starają się uśrednić oceny i dążą do kompromisu, proponuje się rozdzielenie funduszy pomiędzy – powiedzmy – kilkudziesięciu wybitnych specjalistów z różnych dziedzin nauki, którzy następnie NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ (może lepiej powiedzieć: NA WŁASNE WYCZUCIE) będą rozdzielać te fundusze innym badaczom. Podstawową zaletą tego pomysłu jest usunięcie z procesu decyzyjnego ciał zbiorowych¹, które – jak już wspominałem – są skuteczne w odrzucaniu projektów słabych, ale mają trudności w promowaniu idei wybiegających poza normalne standardy.

Oczywiście to dopiero luźny pomysł, zamienienie go w konkretny projekt wymaga niewątpliwie wiele czasu i trudu. Niemal wszystko będzie bowiem zależęć od szczegółów, które należy dopiero dopracować. Uważam jednak, że warto już dziś takie prace w Resorcie Nauki podjąć.

Trudno nie zauważyć, że jest to propozycja skrajnie niedemokratyczna, oddająca całą odpowiedzialność za powodzenie projektu w ręce kilkunastu lub kilkudziesięciu ludzi, których obdarza się wielkim zaufaniem. Zapewne spotka się z silną krytyką i trzeba będzie wielkiej odwagi i determinacji ze strony kierownictwa Resortu, aby ją faktycznie uruchomić.

Jeżeli jednak Resort naprawdę zechce promować wybitne – a więc wykraczające poza standardy – osiągnięcia naukowe, sam musi wykazać, że potrafi niestandardowo myśleć i działać.

ABBA

¹ Twórca niemieckiego cudu gospodarczego, Ludwig Erhard: Aby komisja rządowa mogła coś zrobić, musi składać się z trzech ludzi, z których jeden jest chory, a drugi nieobecny.

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.